

## **BOLESŁAW LONDYŃSKI „BAJKI SŁOWIAŃSKIE”**

### **STOLIK “NAKRYJ SIĘ”, ZŁOTY OSIEŁ I KIJ SAMOBIJ.**

Był krawiec przed laty. Miał trzech synów i jedną kozę.

Koza musiała mieć dobre pożywienie; trzeba było prowadzić ją codzień na paszę, bo żywiła wszystkich mlekiem swoim. Synowie pasali ją po kolei. Razu jednego najstarszy zaprowadził ją na cmentarz, gdzie były zioła najpiękniejsze. Pasała się i skakała. Wieczorem, kiedy czas było wracać do domu, pyta kozy:

— Czy jesteś syta?

A koza mu na to:

“Jestem syta, najedzona.

Mie nęci mnie trawka zielona.

Mee, mee!” — To chodź do domu, — mówi chłopiec.

Wziął powróż, zaprowadził ją do obórki i uwiązał.

Czy koza miała dosyć pożywienia? — pyta krawiec —

O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona, — mówi syn.

Ale ojciec chciał się sam przekonać, poszedł do obórki, pogłaskał stworzenie i pyta:

— Kózko, czy jesteś syta?

Koza mu na to:

“O nie, nie, nie!

Bom po rowach skakała, A trawkim nie skubała. — Co słyszę! — krzyknął krawiec.

Biegnie do chłopca i woła:

— Kłamco jeden! — Mówisz, że koza syta, a wygłodziłeś ją!

I w gniewie, porwał łokieć ze ściany, obił chłopca i wypędził.

Nazajutrz, przyszła kolej na drugiego syna.

Wyszukał on w ogrodzie miejsce zarosłe samem

zielskiem, które koza wyjadła do czysta. Wieczorem, gdy miał wracać, pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

“Jestem syta, najedzona, Nie nęci mnie trawka zielona.

Mee, mee!” — To chodź do domu, — powiada chłopiec.

Pociągnął ją do domu i przywiązał w obórce.

— A co? — pyta krawiec, — czy koza nakarmiona.

— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona,

— mówi syn, Krawiec nie chciał temu wierzyć. Sam idzie do obórki i pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

“Oj nie, nie, nie!

Bom po rowach skakała, A trawkim nie skubała!

Mee, mee!” — Łotr bezbożny! — krzyknął krawiec, — głodzić tobie poczciwe zwierze.!

Poszedł do domu i łokciem chłopca wypędził.

Przyszła kolej na trzeciego syna. Ten chciał się dobrze sprawić. Wyszukał krzaków z liściem najpiękniejszym i pasł niemi kozę. Wieczorem, kiedy mieli wracać, pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

“Jestem syta, najedzona, Mie nęci mnie trawka zielona!

Mee, mee!” — To chodź do domu, mówi chłopiec,

Zaprowadził ją do obórki i uwiązał.

— A co? — pyta krawiec, — czy koza miała dosyć pożywienia?

— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona.

Krawiec nie wierzył; idzie do obórki i pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

“Oj nie, nie, nie, Bom po rowach skakała, A trawkim nie skubała, Mee, mee!” — O łgarze przekłęci! — krzykną! krawiec. — Jeden w drugiego bezbożny i niedbały. Nie wystrychniecie mnie już na dudka! I w złości pobiegł do domu i wygarbował plecy chłopakowi, tak, że aż ten z domu uciekł.

Stary krawiec został sam z kozą. Na drugi dzień poszedł do obory, pogłaskał kozę i mówi:

— Chodź, zwierzątko moje drogie, zaprowadzę cię sam na paszę.

Wziął powróż i zaprowadził ją w krzaki, ulubione przez kozy.

— Choć raz nasycisz się dowoli, — mówi i pasł ją aż do wieczora.

Wtedy pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

“Jestem syta, najedzona, Nie nęci mnie trawka zielona.

Mee, mee!” — Więc chodź do domu, — rzecze krawiec.

Zaprowadził ją do obórki i uwiązał. Kiedy miał odchodzić, zawrócił się raz jeszcze i mówi:

— Najadłaś się raz przecie?

Ale koza zawołała jak poprzednio:

“Oj nie, nie, nie, Bom po rowach skakała, A trawkim nie skubała Mee, mee!” Usłyszawszy to, krawiec zdumiał się i pojął że wypędził synów niesłusznie.

— Poczekajże, niewdzięczne stworzenie! — krzyknął.

— Wypędzić cię z domu, to za mało. Dam ci taką nauczkę, że się już nie pokażesz pomiędzy uczciwymi krawcami.

Śpiesznie skoczył, przyniósł brzytwę, namydlił kozie głowę i ogolił ją, jak kolano. Ponieważ bić łokciem byłoby to dla niej za wiele honoru, chwycił więc bat i zaczął ją tak okładać, że w wielkich susach uciekła.

Krawiec wpadł w ciężki smutek, zostawszy sam jeden w domu. Chciałby mieć synów przy sobie, ale nikt nie powiedział, gdzie się podzieli. Najstarszy wstąpił do stolarza na naukę. Uczył się pilnie i wytrwale. Gdy nadszedł czas wyzwolin, mistrz darował mu stół ze zwyczajnego drzewa. Nie wyglądał osobliwie, ale miał przymiot znakomity. Trzeba go było tylko postawić i powiedzieć: "Stoliku, nakryj się!" a nakrywał się zaraz czystym obrusem, zjawiały się na nim: talerz, nóż i widelec, misy z potrawami warzonymi i pieczonymi i błyszcząca szklanka wina czerwonego tak, że aż się serce śmiało.

Czeladnik pomyślał sobie:

— Wystarczy mi tego na całe życie — i ruszył wesół i z dobrą myślą w świat daleki.

Nie troszczył się wcale o to, czy gospoda zła czy dobra i czy można czego w niej dostać, czy nie. Jeśli mu się podobało, to nie zachodził nigdzie, tylko na polu, na łące, w lesie, gdzie miał ochotę, zdejmował stół z ramion, stawiał przed sobą, mówił:

— Stoliku, nakryj się! — i miał wszystko, czego serce zapagnie. Wkońcu przyszło mu na myśl wrócić do ojca.

Gniew jego może się ułagodził, a ze stolikiem samokarmem przyjąłby go pewnie, Ale zdarzyło się tak, że wracając, wstąpił wieczorem do karczmy. Było tam pełno gości, którzy go pozdrowili i zaprosili, żeby usiadł i jadł z nimi, bo pewno już nie dostanie niczego.

— Nic, — odpowiada stolarz, — nie chcę jednak wam

odejmować tej odrobiny; wolę was sam ugościć. Śmiano się, myśląc, że to żarty; ale on postawił swój stolik drewniany na środku izby i powiedział:

— Stoliku, nakryj się!

W mgnieniu oka stolik był zastawiony potrawami tak smaczными, jakichby gospodarz nie mógł dostarczyć i których zapach przyjemnie nęcił gości.

— Dalej, przyjaciele, do jadła! — mówi stolarz, a goście nie dali się długo prosić. Przysunęli się, wzięli noże i rażno zabrali się do jedzenia.

Co ich najbardziej dziwiło, to to, że jak tylko misa która wypróżniona została, zaraz druga pełna stawała sama na jej miejscu.

Karczmarz stał w kącie i przyglądał się. Nie wiedział co na to powiedzieć, ale myślał sobie! “Zdałby mi się taki kucharz w gospodarstwie”.

Stolarz i towarzysze jego weselili się aż do późnej nocy. Wkońcu poszli spać. Czeladnik położył się także i postawił stolik przy ścianie.

Karczmarzowi nie dawała spokoju myśl o stoliku.

Przypomniał sobie, że miał na strychu stary stolik, zupełnie podobny. Przyniósł go cichaczem i zamienił na stolik cudowny. Nazajutrz stolarz zapłacił za nocleg, zabrał stolik, nie domyślając się, że zamieniony i poszedł swoją drogą. W południe przyszedł do ojca, który go przyjął z wielką radością.

— No, synu kochany, czego się nauczyłeś? — pyta krawiec.

— Ojcze, jestem stolarzem.

— Dobre rzemiosło, — odpowiada stary, — ale co przyniosłeś z wędrowni?

— Najlepsze, com przyniósł, ojcze, to ten stolik.

Krawiec obejrzał stolik na wszystkie strony i mówi:

— Na tem nie zyskałeś, bo to stolik stary i wart niewiele.

— Ależ to stolik samokarm, — powiada syn, — jak go postawię i powiem żeby się nakrył, to zaraz stają na nim najsmaczniejsze potrawy i wino. Aż się dusza raduje! Sprowadźcie tylko wszystkich krewnych i przyjaciół, niech się nasycą i pokrzepią, bo stolik nasyci wszystkich. Kiedy goście się zebrali, postawił stolik na środku pokoju i mówi:

— Stoliku, nakryj się!

Ale stolik ani drgnął i stał pusty, jak każdy inny nie rozumiejący zaklęcia. Biedny czeladnik spostrzegł, że zamieniono mu stolik. Wstydził się, że stał, jak kłamca, a krewni wyśmiali go i musieli wracać do domu bez posiłku. Ojciec zabrał się znowu do krawiectwa, a syn poszedł na robotę do majstra.

Drugi syn krawca dostał się do młynarza i był u niego w terminie. Gdy się wyzwolił, majster powiada: Zato, żeś się dobrze sprawował, daruję ci osła Osobliwszego rodzaju, bo nie ciągnie wozu i nie dźwiga worków.

— Do czego więc służy? — pyta czeladnik.

— Pluje złotem, — odpowie młynarz. — Jeżeli postawisz go na obrusie i powiesz “brikebrik!” to pocziwe stworzenie płuć będzie złotem bez końca.

— To dobra rzecz, — powiada czeladnik. Podziękował majstrowi i ruszył w świat.

Gdy potrzebował pieniędzy, mówił tylko do osła:

“Brikebrik” — i złoto padało jak deszcz tak, że potrzebował tylko z ziemi je zbierać.

Gdzie się pokazał, kupował najlepsze rzeczy, a im były

droższe, tem lepiej było, bo miał zawsze pełną kieszeń.

Włóczył się tak czas jakiś po świecie i nareszcie

pomyślał sobie:

— Trzeba odnaleźć ojca. Jak mu pokażę złotego osła,  
to zapomni o gniewie i przyjmie mnie dobrze.

Zdarzyło się, że młynarz dostał się do tej samej  
gospody, w której bratu zamieniono stolik. Prowadził osła  
za sobą. Karczmarz chciał wziąć bydlę od niego i  
uwiązać, ale młody czeladnik powiada:

— E, nie trudźcie się, zaprowadzę sam siwosza do  
stajni i sam go uwiążę, bo muszę wiedzieć, gdzie stoi.  
Karczmarzowi wydało się to dziwnem i myślał, że taki,  
który sam osła obrządzać musi, nie ma wiele pieniędzy na  
przejedzenie; ale kiedy nieznajomy sięgnął do kieszeni,  
wyciągnął dwie sztabki złota i powiedział, żeby mu  
przyrządzono co dobrego na wieczkę, zrobił wielkie  
oczy, pobiegł i wybrał, co miał najlepszego. Po uczcie  
gość pyta, co winien. Karczmarz nie żałował podwójnej  
kredki i powiedział, że trzeba dołożyć jeszcze ze dwie  
sztuki złota. Czładnik sięgnął do kieszeni, ale nie miał  
więcej pieniędzy.

— Poczekajcie chwileczkę, panie gospodarzu, — mówi,  
— pójdę tylko i przyniosę złota.

Zabrał obrus ze sobą. Karczmarz nie wiedział, co to  
ma znaczyć. Zaciekawiony, idzie milczkiem za nim, a że  
gość zasunął drzwi od stajni, więc podgląda przez szparę.

Czeladnik rozłożył obrus pod osłem i zawołał:

“Brikebryk!” i w tejże chwili zwierzę zaczęło wyrzucać  
złoto tak, że padało porządnym gradem na ziemię.

— Tam do licha, — powiada gospodarz, — więc to tak  
robią się dukaty! Taki worek, to wcale dobra rzecz.

Gość zapłacił za biesiadę i położył się spać, a

gospodarz zakradł się w nocy do stajni, wyprowadził osła i postawił innego na jego miejsce.

Na drugi dzień wczesnym rankiem, czeladnik wyruszył z osłem, myśląc, że ma swego osła złotego.

W południe przybył do ojca, który się ucieszył na jego widok i przyjął go chętnie.

— Czemże zostałeś, mój synu? — pyta.

— Młynarzem, ojcie kochany, — odpowiedział syn.

— Cóżże zyskał na wędrowce?

— Tylko jednego osła.

— Osłów jest tu dosyć, — mówi ojciec, — wolałbym już dobrą kozę niż osła.

— Tak, — mówi syn, — ale to nie zwyczajny osieł, tylko osieł złoty. Gdy powiem “bikerbrik”, to poczciwe stworzenie wyrzuci wam cały obrus pieniędzy. Każcie tylko zawołać wszystkich krewnych, to zrobię z nich ludzi bogatych.

— To mi się podoba, — powiada krawiec, — nie będę potrzebował męczyć się nad igłą.

Sam pośpieszył i zwołał krewnych. Skoro tylko się zebrali, młynarz kazał im usiąść, rozłożył chustkę i wprowadził osła do izby.

— Baczość! — mówi i woła, — brikebrik! Ale złoto nie padało i okazało się, że osieł nie umie tej sztuki, bo nie każdy ją potrafi.

Biedny młynarz spuścił nos na kwintę, widząc, że jest oszukany i poprosił krewnych, którzy odeszli równie biedni, jak przyszli.

Nie było rady, stary musiał znowu wziąć się do igły, a młody zgodzić się do młynarza.

Trzeciego brata wyzwolił tokarz, a że tokarstwo jest trudnym rzemiosłem, więc musiał terminować najdłużej.



Bracia donieśli mu listownie, jak źle im się powiodło,  
jak to karczmarz pozbawił ich cudownego dorobku.

Gdy się tokarz wyzwolił i miał odejść, mistrz darował  
mu w nagrodę przykładowej pracy worek i rzekł:

— W worku tym znajduje się kij.

— Worek zarzucę sobie na plecy i może mi się  
przydać, ale poco ten kij? To ciężar niepotrzebny.

— A jednak i on ci się nieraz przyda, — odpowie  
majster. — Gdy ci kto krzywdę zrobi, powiedz tylko: “kiju,  
wyskocz z worka!” a kij wyskoczy, wpadnie na ludzi i  
zacznie ich tak okładać po plecach, że się przez cały  
tydzień nie rusza. Bić będzie dopóty, dopóki mu nie  
powiesz: “kiju, do worka!” Czeladnik podziękował,  
zawiesił worek na plecach, a gdy kto zbliżał się z nadto i  
chciał go skrzywdzić, to mówił tylko:

— Kiju, wyskocz z worka! — a kij wyskakiwał i zanim  
się kto obejrzał, już trzepał go niemiłosiernie po plecach.  
Młody tokarz przyszedł wieczorem do gospody, w  
której tak oszukano jego braci. Położył worek przed sobą  
na stole i dalejże opowiadać o tem, co widział na świecie  
godnego uwagi.

— Bywa, — mówi, — taki stolik samokryj, taki złoty  
osieł i tym podobne dobre rzeczy, któremi nie gardzę, ale  
wszystko to nic w porównaniu ze skarbem, który  
zdobyłem i który mam w worku.

Karczmarz nadstawił uszu.

— Co to może być takiego? — myślał, — pewnie worek  
napęczniony drogiemi kamieniami. Powinienem go zdobyć  
i to tanim kosztem, bo do trzech razy sztuka.

Kiedy nadeszła pora odpoczynku, gość wyciągnął się  
na ławie i położył sobie worek pod głowę, zamiast  
poduszki. Karczmarz czekał, a gdy mu się wydało, że

gość śpi i twardo, zakradł się i ciągnie a szarpie  
nieznacznie za worek, próbując, czy mu się nie uda  
zastąpić go innym workiem.

Tokarz czekał tylko na to, a kiedy gospodarz chciał się  
odważyć i szarpnąć mocniej, zawołał:

— Kiju, wyskocz z worka!

Kij skoczył na karczmarza i sprawił mu łaźnię, co się  
zowie. Karczmarz krzyczał przeraźliwie, ale im głośniej  
krzyczał, tem silniej kij wybijał mu takt na plecach, aż  
upadł z bólu na ziemię.

Wtedy tokarz powiada:

— Jeżeli nie oddasz stolika samokryja i złotego osła, to  
taniec zacznie się na nowo.

— O, nie, nie! — wołał karczmarz pokornie, — oddam  
wszystko najchętniej, niech tylko to lichy przeklęte wróci  
do worka.

Na to czeladnik:

— Niech i tak będzie, zlituję się nad tobą, ale pilnuj się  
dobrze.

Co rzekłszy, zawołał:

— Kiju, do worka! — i kij przestał bić karczmarza.

Nazajutrz, tokarz wyruszył do ojca z cudownym  
stolikiem i złotym osłem.

Krawiec ucieszył się, widząc go i pyta, czego się  
nauczył u ludzi.

— Jestem tokarzem, ojcie kochany.

— Oj, to trudne rzemiosło — mówi ojciec. — A cóż  
przyniosłeś z wędrówki swojej?

— Rzecz drogocenną, ojcie kochany — odpowie: — Kij  
w worku!

— Co? — krzyknie ojciec, — kij? To nic nie warte. Tam  
mógłbyś sobie kij wyciąć z byle drzewa.

— Ale nie taki, ojcie drogi, bo jak do tego powiem:

“Kiju, wyskocz z worka!” to wyskakuje i młóci bez miłosierdzia tego, kto mnie dokuczy. Bić nie przestaje, dopóki ofiara nie legnie na ziemi i nie zacznie prosić o miłosierdzie. Zapomocą tego kija odebrałem cudowny stolik i złotego osła, które karczmarz złodziej pozabierał braciom. Każ że, ojcie, ich przywołać i sproś wszystkich krewnych, napoję ich i nasycę i jeszcze im kieszenie złotem napełnię.

Stary krawiec niebardzo wierzył, ale krewnych zgromadził. Wtedy tokarz rozciągnął obrus w pokoju, przyprowadza osła i rzecze:

— No, bracie kochany, rozmów się z nim. Młynarz przemówił: “brikebrik” i w mgnieniu oka złoto posypało się na obrus, jak deszcz ulewny, a osieł sypać nie przestawał, póki wszyscy nie mieli tyle, że więcej unieść by nie mogli. (Widzę, że i tybyś chętnie był z nimi!).

Potem tokarz przyniósł stolik i mówi:

— Bracie kochany, przemów do niego. Ledwie stolarz wymówił: “stoliku, nakryj się!” — już był nakryty i zastawiony obficie najlepszymi potrawami.

Wtedy zaczęła się uczta, jakiej pocziwy krawiec nie widział jeszcze w domu swoim i cała rodzina była razem, aż do późnej nocy. Wszyscy byli weseli i zadowoleni.

Krawiec zamknął do szafy igłę, nici, łokieć i żelazko i żył z synami w radości i dostatku.

Ale co się stało z kozą, z powodu, której krawiec wypędził trzech synów swoich?

Koza wstydziła się, że ma łysą głowę i schowała się w lisiej norze. Kiedy lis wrócił do domu, para wielkich oczu zaiskrzyła się doń w ciemności. Przestraszył się i uciekł.

Spotyka go niedźwiedź, a że lis był bardzo

wystraszony, więc pyta go mysio:

— Co ci to bracie! Czemu tak wyglądasz?

— Bo zwierz straszliwy siedzi w norze mojej, —  
powiada lis. — Spojrzał na mnie ślepiami ognistemi,  
więcem uciekł.

— Wypędzimy go! — mówi niedźwiedź. Poszedł z lisem  
do nory, zagląda, ale gdy ujrzał oczy ogniste, strach  
opanował go także.

Uciekł, bo nie chciał mieć do czynienia ze straszny  
stworzeniem.

Spotkała go pszczoła, a widząc, że jakiś nieswój,  
powiada:

— Niedźwiedziu, czemu masz taką Strapioną minę?  
Gdzie się podziała twoja wesołość?

— Dobrze ci żartować, — powiada niedźwiedź, — jakiś  
straszny zwierz siedzi w lisiej norze i nie możemy go  
wypędzić.

A pszczoła na to:

— Żal mi ciebie niedźwiedziu. Jestem stworzenie małe  
i słabe, na które nie spoglądacie nawet po drodze, ale  
przypuszczam, że będę mogła wam pomóc.

Poleciała do lisiej nory, siadła kozie na łbie wygolonym  
i ukłuła ją tak silnie, że ta zerwała się, zabeczała mee,  
mee! — i popędziła w świat, jak szalona.

Do dziś dnia nikt nie wie, gdzie się podziała.

## **BOLESŁAW LONDYŃSKI „BAJKI SŁOWIAŃSKIE”**

### **WYDEPTANE TRZEWIKI**

Był sobie król. Miał dwanaście córek, jedna  
piękniejsza od drugiej, które sypiały razem w dużej  
komnacie, a łóżka ich stały obok siebie. Król zamykał sam

co wieczór drzwi na klucz i na zasuwę, skoro się tylko do snu poukładały. Pomimo to, trzewiki ich były co rano wydeptane, jakby po tańcu i nikt nie mógł dociec, jakim sposobem to się działo. Wkońcu król kazał rozgłosić, że ten, kto odkryje, gdzie jego córki tańczą w nocy, dostanie królestwo i otrzyma jedną z królewien za żonę. Ale kto się na próbę odważy i po trzech dniach nic nie wyjaśni, to zostanie skazany na śmierć.

Wkrótce zjawił się królewicz, który chciał spróbować szczęścia. Przyjęto go bardzo godnie i zaprowadzono wieczorem do pokoju, przylegającego do komnaty sypialnej. Postano mu tam łóżko. Miał uważać, gdzie się królewny wymykają w nocy i zostawiono drzwi od sypialni otworem, aby królewny nie mogły nic zrobić pokryjomu.

Królewiczowi powieki ciężyły, jak ołowiane i zasnął.

Na drugi dzień wszystkie trzewiki królewien miały dziury w podeszwach. To samo było drugiej i trzeciej nocy, więc ścięto bez miłosierdzia głowę królewiczowi.

Przychodziło po nim jeszcze wielu młodzieńców, ale wszyscy płacili życiem za śmiałość.

W tym czasie żołnierz szedł drogą, wiodącą do miasta królewskiego. Był ranny i nie mógł już służyć. Spotkał staruszkę, która go spytała, dokąd idzie.

— Sam nie wiem, — odpowiedział i dodał żartem, — chciałbym dojść, gdzie królewny chodzą na tańce.

Zostałbym królem na stare lata.

— O, to nie jest rzecz tak bardzo trudna, — mówi staruszka, — nie pij wina, które ci dadzą wieczorem, a położywszy się, udawaj, żeś zasnął.

Dała mu płaszczyk jakiś, mówiąc:

— Jak go zarzucisz na siebie, staniesz się

niewidzialnym i niepostrzeżony będziesz mógł pójść za królewniemi. Żołnierz, słysząc te słowa, postanowił obrócić żart w rzeczywistość i poszedł do króla. Przyjęto go, jak wszystkich poprzedników i dano mu ubranie królewskie. Wieczorem zaprowadzono go do pokoju obok sypialni. Kiedy się miał kłaść do łóżka, najstarsza z królewien przyniosła mu wino. Ale chytry żołnierz przywiązał sobie gąbkę pod brodą, wylał na nią wino i ani kropelki do ust nie wziął. Potem położył się i poleżawszy chwilę spokojnie, zaczął chrapać przeraźliwie, jak człowiek, pogrążony w śnie głębokim. Królowny, słysząc to, śmiały się, a najstarsza mówi:

— Widocznie życie mu zbrzydło, bo szuka śmierci.

Wstały i poczęły wydobywać z szaf i skrzyń najpiękniejsze suknie. Stroiły się przed lustrem, skakały po pokoju i cieszyły się, że tańczyć będą. Tylko najmłodsza powiada:

— Cieszcie się, a mnie smutno jakoś, sama nie wiem czemu. Zdaje mi się, że nieszczęście nas spotka.

— Gaska z ciebie, — odparła najstarsza, — zawsze się boisz. Czyś już zapomniała, ilu królewiczów chodziło tu daremnie? Niepotrzebnie nawet dawałam na sen temu żołnierzowi. On by się i tak nie obudził.

Ubrały się, wystroiły i zajrzały do żołnierza, czy śpi.

Miał oczy zamknięte i leżał, jak zabity. Królownom się wydało, że z jego strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Najstarsza zbliżyła się do swego łóżka i zapukała. Łóżko spuściło się w ziemię, a królowny zeszły za niem jedna po drugiej, z najstarszą na czele.

Żołnierz widział wszystko. Niewiele myśląc, zarzucił na siebie płaszcz i niewidzialny poszedł w ślad za najmłodszą.

Na schodach przydeptał jej suknię niechcący.

— Co to jest? Kto mi suknię przydeptał?

— Nie bądźże tak niemądra! — uspokajała ją najstarsza. — Zaczepiłaś się pewno o gwóźdź jaki.

Zeszedłszy ze schodów, królowny znalazły się na drodze przecudnej, wysadzonej drzewami o srebrnych liściach, które błyszcząły i mieniły się w oczach. Żołnierz pomyślał:

— Muszę sobie wziąć stąd cokolwiek na znak, żem tu był, — i ułamał gałązkę.

Trzask głośny dał się słyszeć. Najmłodsza zawołała z przestraszeniem:

— Co się dzieje? Słyszaliście? A najstarsza na to:

— Strzelają w zamku na wiwat, bo już wkrótce zdejmujemy urok z naszych królewiczów.

Weszły na drugą stronę, wysadzoną drzewami o liściach złotych, a wkońcu na trzecią, gdzie liście były z przeczystych brylantów. Za każdym razem rozlegał się huk głośny. Najmłodsza trzęsa się ze strachu, ale najstarsza powtarzała ciągle, że to strzały. Wkońcu przyszły nad dużą wodę, na której było dwanaście łódek. W każdej z nich był królewicz.

Widocznie czekali oni na królowny i zabrawszy każdy po jednej, odpłynęli. Żołnierz wskoczył do łódki z najmłodszą królowną.

— Nie wiem, co to znaczy, — ozwał się królewicz, ale łódka dziś cięższa niż zwykle i muszę robić wiosłami ze wszystkich sił.

— To chyba od upału, — mówi królowna. — I mnie bardzo gorąco, jestem jakoś źle usposobiona.

Na przeciwległym brzegu był jasno oświetlony pałac, wesoła muzyka grzmiała; rozlegały się trąby i bębny.

Królewicze wprowadzili królowny do pałacu i poczęli tańczyć, każdy ze swoją ukochaną. Niewidzialny żołnierz tańczył także, a gdy która z królewien chciała się napić wina, wypijał je tak, że niosła do ust próżny puhar.

Zastanowiło to najmłodszą i zastraszyło, ale najstarsza umiała ją zmusić do milczenia.

Tańcowały do rana i przestały dopiero, gdy się im trzewiki zupełnie rozleciały. Królewicze przewieźli królowny przez wodę. Na brzegu pożegnali się, obiecując sobie, że się zobaczą następnej nocy. Żołnierz pobiegł naprzód, rzucił się na łóżko, a gdy królowny pomęczzone i niewyspane weszły powoli do sypialni, chrapał już tak głośno, że siostry go usłyszały.

— Ten nas nie wyda, — mówiły.

Rozebrały się, pochowały piękne stroje, postawiły podarte trzewiki pod łóżkiem i położyły się spać. Na drugi dzień żołnierz postanowił nic nie mówić i przyjrzeć się jeszcze temu, co królowny robią. Śledził je drugiej i trzeciej nocy. Wszystko odbyło się tak, jak pierwszej i królowny tańczyły póty, póki im trzewiki z nóg nie pospadały.

Trzeciej nocy żołnierz wziął puhar z pałacu zaklętego.

Wybiła godzina, w której żołnierz miał dać odpowiedź królowi. Wziął tedy puhar i gałązki i poszedł śmiało.

Królowny stały za drzwiami i słuchały, co powie. Król pyta:

— Gdzie chodzą córki moje i z kim tańczą?

— Chodzą do podziemnego pałacu i tańczą z dwunastu królewiczami, — odparł żołnierz i opowiedział królowi wszystko, co widział, pokazując na dowód puhar i gałązki.

Król kazał przyjść córkom i zapytał:



— Czy to prawda?

One zaś widząc, że się wszystko wydało i żadne wykrety nie pomogą, przyznały się do wszystkiego.

— Którą z nich chcesz wziąć za żonę? — pyta król.

— Jestem nie pierwszej młodości, więc dajcie mi najstarszą, — odpowiedział.

Wesele odbyło się jeszcze tego samego dnia. I król obiecał oddać żołnierzowi królestwo po swojej śmierci.

Królewicze zaś zostali znowu zakłęci na tyle dni, ile nocy przetańczyli z królewnami.